Biuletyn
Polonistyczny

09.07.2026

Podążaj za tym, co cię najbardziej pociąga. Rozmowa z prof. Mariną Ciccarini (Uniwersytet Rzymski "Tor Vergata")

Bohaterka niniejszego tekstu może poszczycić się imponującym dorobkiem naukowym oraz translatorskim. Jest absolwentką Uniwersytetu Rzymskiego „La Sapienza”, w latach 1991–1994 związana była z neapolitańskim Istituto Universitario Orientale, a od 1994 roku aż do dnia dzisiejszego pracuje na Uniwersytecie Rzymskim „Tor Vergata”. Jej zainteresowania badawcze obejmują literaturę włoską, rosyjską i polską od XVI wieku aż do współczesności. Ma na swoim koncie także przekłady utworów Jerzego Grotowskiego, Ewy Lipskiej i Małgorzaty Lebdy. Profesor Ciccarini zgodziła się na rozmowę z „Biuetynem Polonistycznym” o swojej drodze naukowej i stanie polonistyki we Włoszech, a także o tym, co znaczy dzisiaj bycie profesorem i jak ważną wartością dla naukowca jest swoboda działania.

Rozmowę przeprowadziła i przetłumaczyła z języka włoskiego Iwona Przybysz.

W ciągu swojej wieloletniej pracy badawczej zajmowała się Pani iście szerokim spektrum tematów i problemów. Jak wyglądała Pani droga badawcza?

Od dziecka miałam olbrzymie upodobanie do kwestii języka i literatury. Mam dwóch starszych braci, którzy skończyli *liceo classico*[1], a następnie poszli na studia. Ja sama chciałam zapisać się do *liceo linguistico*[2], ale nie pozwolono mi na to – musiałam, tak jak oni, ukończyć *liceo classico*. Po maturze zaczęłam studia filologiczne na Uniwersytecie Rzymskim „La Sapienza”, ale nie mogłam się zdecydować, jaki język mam wybrać. Czytałam jednak wiele rosyjskich i polskich powieści, a zatem na swój sposób interesowała mnie literatura słowiańska.

W czasie moich studiów (w latach 1975–1980) na Sapienzy wykładał profesor Angelo Maria Ripellino, jeden z najwybitniejszych włoskich rusycystów. Pracował tam także profesor Sante Graciotti, znakomity znawca literatury polskiej, ceniony także w Polsce. Muszę jednak przyznać, że kiedy poszłam po raz pierwszy na zajęcia prof. Ripellina, oszołomiła mnie jego brawura, umiejętność zaangażowania studentów. To skłoniło mnie do zapisania się na slawistykę oraz na lektoraty z języka rosyjskiego i polskiego. W tamtym czasie bowiem każdy student slawistyki zobowiązany był do nauczenia się dwóch języków słowiańskich. Język francuski i angielski poznałam dobrze w liceum, więc nie sprawiały mi już one trudności. Ten

proces okazał się dla mnie bardzo ważny, bo polski i rosyjski to bardzo złożone języki pod względem odmiany wyrazów, a ich składnia jest zupełnie inna niż składnia języka włoskiego. W ich nauce bardzo pomogła mi jednak możliwość wyjazdów do Polski i Rosji na stypendia.

Drogę do Polski otworzyło mi kilka wydarzeń. Pierwszym z nich były zajęcia prof. Graciottiego z literatury staropolskiej. Zafascynowała mnie tam kwestia dawnej literatury popularnej, a zwłaszcza gatunek facecji polskich. Gatunek ten na pewnym etapie przeszedł do Rosji, ale czerpał ze źródeł europejskich – włoskich, łacińskich i niemieckich. Postanowiłam zatem poprosić prof. Graciottiego o możliwość napisania pracy magisterskiej poświęconej właśnie facecjom. (Zdecydowałam się na ten krok także dlatego, że prof. Ripellino zmarł przedwcześnie w 1978 roku na skutek poważnej choroby. Ta smutna okoliczność sprawiła też, że nie mogłam napisać pracy o współczesnej literaturze polskiej i rosyjskiej, bo trzeba było zaczekać na znalezienie następcy prof. Ripellina, którym został profesor Michele Colucci). Bardzo zaangażowałam się w pisanie tej pracy – czułam się, jakbym prowadziła śledztwo. Starałam się odnaleźć w prasie źródła facecji polskich oraz punkty odniesienia dla ich autorów. Przeczytałam zatem na nowo całość facecji włoskich (m.in. Lodovica Domenica, Poggia Bracciolinego i innych), ale także niemieckich twórców piszących po łacinie.

Potem, w trakcie stanu wojennego, wyjechałam po raz pierwszy do Polski na stypendium. Wcześniej, w latach 1981–1982 spędziłam dziewięć miesięcy w Leningradzie [dzisiaj Petersburg – przyp. tłum.], gdzie nawiązałam kontakt ze środowiskiem rosyjskim. W porównaniu z Rosją Polska zrobiła na mnie olbrzymie wrażenie – zetknęłam się z zupełnie inną wrażliwością, literaturą, stylem życia. W tamtym czasie w drugim obiegu można było zdobyć teksty Sławomira Mrożka i innych autorów, których nie wolno było wydawać w sposób oficjalny. W ten sposób zapoznałam się z wieloma nieznanymi mi wcześniej tekstami, które wydały mi się nadzwyczajne.

Następnie nawiązałam kontakty z profesorami z Polski, a z wieloma z nich przez lata się zaprzyjaźniłam. Spośród nich szczególnie ciepło wspominam prof. Hannę Dzierdzińską, która przyjęła mnie jak własną córkę i pomogła mi we wszystkich trudnościach, z którymi wiązało się w tamtym czasie mieszkanie w Polsce. Zapraszała mnie do swojego domu, gdzie rozmawiałyśmy o literaturze, a nasza przyjaźń trwała aż do czasu jej śmierci w 2015 roku. Często też zaglądałam na Uniwersytet Warszawski, gdzie poznałam największe sławy polonistyczne, jak np. prof. Alinę Nowicką-Jeżową. Długie godziny spędzałam również w bibliotece Instytutu Badań Literackich PAN. Polska sprawiała na mnie wrażenie cudownego skarbca, stopniowo otwierającego się przed mymi oczyma.

Powróciwszy do Rzymu, zaczęłam pracę nad doktoratem. Traf chciał, że na doktorat dostało się w tym czasie troje polonistów – ja, profesor Luigi Marinelli i profesor Lucio Gambacorta, który zmarł w wieku zaledwie czterdziestu sześciu lat. Czas doktoratu był inspirujący, pełen spotkań z wybitnymi profesorami – specjalistami w

dziedzinie literatur słowiańskich. W starszych pokoleniach było mnóstwo mistrzowskich badaczy, a naszym zadaniem było przejąć po nich pałeczkę.

Potem musiałam zaczekać dwa lata, aż otworzy się dla mnie możliwość zatrudnienia, ale nie przerwałam pracy naukowej. Przez kilka lat prowadziłam badania komparatystyczne między literaturą polską a rosyjską w epokach dawnych. Potem zajmowałam się edytorstwem. W jednym z moich pierwszych artykułów pisałam o wielojęzyczności w literaturze. Kolejną kwestią, jaka mnie fascynowała, był stosunek szlachty polskiej do Turcji (która od XVI wieku rozszerzała swoje wpływy w Europie), zarejestrowany zwłaszcza w dziennikach z podróży. To ostatecznie stało się przedmiotem mojej rozprawy doktorskiej. Poruszałam się zatem w obszarze literatury staropolskiej, a także zajmowałam się kwestiami sarmatyzmu i orientalizmu.

Co wpływało na wybór przez Panią kolejnych obszarów badawczych?

Odpowiedź na to pytanie jest prosta: moje zainteresowania. Wielu moich kolegów po fachu, zwłaszcza w Polsce, wybiera sobie specjalizację – zajmują się np. literaturą XIX wieku albo romantyzmem… Ja sama nie uważam się za specjalistkę – myślę o sobie raczej jak o dyletantce w sensie etymologicznym. Zawsze podążałam za swoimi zainteresowaniami i to one wyznaczały, czym się zajmowałam. Przykładowo: w 1991 roku wygrałam konkurs na stanowisko badawcze w Neapolu, gdzie pracował prof. Ricardo Picchio, jeden z najwybitniejszych włoskich slawistów. Pewnego dnia opowiedział mi o jezuicie Andrzeju Białobockim, który zawsze starał się iść pod prąd. Wyemigrował on do Moskwy, gdzie stanął przed sądem cara, oskarżony o herezję. To zmusiło go do napisania wyznania wiary, które miało go ochronić przed spaleniem na stosie. Napisałam o tym wyjątkowym tekście książkę, to zaś doprowadziło mnie do badań nad herezjami. To dzięki nim miałam zaszczyt kilkakrotnie spotkać się z prof. Januszem Tazbirem. Potem nie mogłam nie zainteresować się wieszczami romantycznymi czy kontaktami polsko-włoskimi w XIX wieku. Myślę, że najmniej zajmowała mnie literatura oświecenia. Zbliżyłam się jednak bardzo do okresu, który w literaturze polskiej wydaje mi się najpiękniejszy: czterdziestolecia między końcem XIX a początkiem XX wieku. W tym czasie dzieje się dużo: dochodzi do kryzysu języka, literatury, muzyki, sztuki, narodzin psychoanalizy. Potem rodzi się awangarda, a zatem dochodzą do głosu nowe języki. Bardzo przemawiały do mnie myśli Stanisława Brzozowskiego, działalność Wyspiańskiego, ale także teatr. Od teatru zaś niedaleka droga do poezji.

Miałam szczęście zapoznać się z twórczością jednej z największych poetek XX wieku – Ewy Lipskiej. To zaś doprowadziło mnie do przekładu literatury. Poezja Lipskiej jest wyjątkowa, niepowtarzalna, jak czytnik linii papilarnych (by użyć tutaj tytułu jednego z tomów poetki, który przetłumaczyłam). Jest to poezja trudna do zdefiniowania, dlatego nie będę się nawet na to porywać, bo każda definicja poezji prowadzi do błędnych wniosków. Twórczość Lipskiej jednak zupełnie mnie pochłonęła. Przetłumaczyłam kilka jej tomików, jak np. *Droga pani Schubert*; *Miłość, droga pani Schubert* czy *Pamięć operacyjną* i *Miłość w trybie awaryjnym*.

Potem przetłumaczyłam wiersze Małgorzaty Lebdy – poetki, która w ostatnich latach zdobyła sobie wielkie uznanie.

Teraz, gdy zbliżam się do kresu kariery akademickiej i patrzę na swoje losy z dystansu, mogę powiedzieć, że miałam szczęście. W kontakcie z mistrzami odnajdywałam szacunek do tego, co robiłam. Nikt nie odciągał mnie od badań, ale cieszyłam się zaufaniem ze strony autorytetów. To właśnie powinien robić profesor: obdarzać młodych badaczy zaufaniem i – niczym w rodzinie – być jak port, do którego zawsze można wrócić. Młody badacz przypomina barkę, która powinna płynąć swobodnie. Profesor zaś powinien mu mówić: „Jestem tutaj, daję ci rękę, ale ty rób to, co cię pociąga". Zwłaszcza w badaniach literackich nie może być inaczej. Dlatego cieszę się, że w młodości spotkałam prawdziwych mistrzów, którzy pomogli mi zrozumieć, że tak właśnie będzie wyglądać moja droga.

Zatrzymajmy się na kwestii tłumaczeń. To, o czym Pani mówi, wydaje mi się bardzo ważne w zderzeniu z gorzkimi diagnozami włoskiego rynku wydawniczego, który – jak opowiadał mi wcześniej prof. Alessandro Amenta – kieruje się przede wszystkim prawem popytu i podaży, a tym samym nie tworzy dobrych warunków do wydawania literatury polskiej. Czy zgodziłaby się Pani z taką diagnozą?

Należałoby tutaj rozdzielić dwie kwestie. Pierwszą z nich jest natura włoskiego rynku wydawniczego, który okazuje się mocno prowincjonalny. Sprawia to, że starsze przekłady literatury polskiej często są słabe – choć na szczęście to się zmienia, bo do głosu dochodzi nowe pokolenie wspaniałych tłumaczy. Włoski rynek wydawniczy patrzy przede wszystkim na to, co się sprzeda. Jest niewielu wydawców, którzy kierują się jedynie jakością. W ostatnich latach możemy jednak zaobserwować pewien wzrost zainteresowania literaturą polską – także dzięki przyznaniu Oldze Tokarczuk Nagrody Nobla. Nie można jednak zapominać, że zarówno literatura włoska, jak i polska, są literaturami niszowymi. Mimo to jednak staramy się rozwijać.

Z drugiej strony nie można zapominać, że Alessandro uczy języka polskiego i jest tłumaczem od zawsze – ja nie. Ja uczę literatury i niezbyt mnie interesuje, czy przekład poezji Lipskiej będzie cieszył się zainteresowaniem czytelników. Mój zawód polega trochę na czymś innym. Musiałam sama zatroszczyć się o wydanie swoich tłumaczeń. Współpracowałam zazwyczaj z małymi i średnimi wydawnictwami, które jednak udało mi się przekonać, że jest to swego rodzaju produkt dobrej jakości, mówiąc językiem rynku. Nie wierzę, że tomiki poezji Ewy Lipskiej czy Małgorzaty Lebdy sprzedałyby się w tysiącach egzemplarzy, ale wszystko mi jedno. Na pewnym etapie przetłumaczenie tych dwóch poetek (a zwłaszcza Lipskiej) stało się dla mnie swego rodzaju koniecznością. Do Lipskiej podchodziłam początkowo z pewną nieśmiałością, bo przecież nie jestem zawodową tłumaczką, a wiersze Ewy są bardzo trudne do przełożenia, gdyż przepełnione są licznymi intertekstami czy odniesieniami kulturowymi, które nie zawsze da się prosto objaśnić. Później poznałam Ewę, która zaszczyciła mnie swoją przyjaźnią, co pozwoliło mi na głębsze zrozumienie jej poezji.

Czy właśnie te trudności w przełożeniu jeden do jednego poezji – zwłaszcza Lipskiej – zdecydowały o ich wydaniu w formie dwujęzycznej?

Wydania dwujęzyczne – zwłaszcza poezji – to praktyka znana na rynku włoskim już od wielu lat, stosowana nie tylko w przypadku poezji polskiej. Kiedy wejdzie się do dowolnej włoskiej księgarni i zajrzy do działu z poezją, zobaczy się, że edycje dwujęzyczne stanowią jakieś 90% rynku. Dotyczy to także tekstów klasycznych, jak np. *Iliada* czy *Odyseja*, w których tekst grecki umieszczany jest obok włoskiego tłumaczenia.

Wynika to moim zdaniem z ogromnej rangi, jaką zyskał zawód tłumacza w ostatnich latach. Jeszcze niedawno o roli tłumacza właściwie się nie mówiło – pisało się jego nazwisko małymi literami. Teraz jednak to się zmieniło. Dzisiaj pracy tłumacza nadano swego rodzaju godność, bo dostrzega się olbrzymią pracę, z jaką wiąże się przekład. Moim zdaniem uczciwym zabiegiem jest dostarczanie czytelnikom – także tym, którzy nie znają języka oryginału – jego tekstu. Kiedy ma się możliwość do niego zajrzeć, przeczytać kilka linijek w tym języku, można odczuć brzmienie tego języka. Czytelnik profesjonalny zaś może dzięki temu porównać przekład z oryginałem i docenić pracę tłumacza albo go skrytykować czy zasugerować poprawki. Przyznać jednak muszę, że poprawianie cudzych przekładów jest bardzo proste.

Niedawno prowadziłam zajęcia, na których rozmawialiśmy o poezji Czesława Miłosza. W pewnym momencie chciałam przywołać fragment jego wiersza, ale nie miałam przy sobie tomiku jego poezji. Jedna ze studentek miała przy sobie komputer, więc szybko znalazłyśmy tekst w języku polskim. Dzisiaj, mając dostęp do technologii, nie jest trudno dotrzeć do tekstu w języku oryginału. To powiedziawszy, według mnie dwujęzyczne wydanie to wydanie bogatsze. Bo przecież nawet jeśli znajdzie się wiersz w Internecie, to nie ma się pewności, czy nie ma w niej żadnych błędów, z którego wydania czerpał autor strony, brakuje też odwołań bibliograficznych.

Biorąc pod uwagę Pani doświadczenie dydaktyczne, jakie perspektywy na przyszłość widzi Pani dla polonistyki na Tor Vergacie?

Na Tor Vergacie?

Tak.

Dopytałam, bo chciałam się upewnić – jak Pani wie, mamy kilka polonistyk we Włoszech, które bardzo się między sobą różnią. Jeśli jednak chodzi o Tor Vergatę, jestem bardzo szczęśliwa. Niedługo przejdę na emeryturę, a kiedy to się stanie, cała polonistyka tutaj będzie na barkach prof. Amenty – a to są naprawdę solidne ramiona. Wiem, że zostawiam swoje miejsce w rękach niezmiernie poważnego, kompetentnego badacza. Patrzę na przyszłość polonistyki z optymizmem. Mamy tutaj dobrą lektorkę, jak również wsparcie kolegów zajmujących się innymi językami i literaturami. Wierzę, że ten stan się utrzyma także, kiedy przejdę już na

emeryturę. Alessandro i Bianca [Sulpasso – przyp. tłum.] są przedstawicielami pokolenia pięćdziesięciolatków, więc choć są młodsi ode mnie, są już bardzo poważnymi pracownikami. Nie mam zatem cienia wątpliwości, że wszystko ułoży się dobrze.

Uczymy tu też rosyjskiego i staramy się przekonywać studentów, że dobrym wyborem będzie studiowanie slawistyki, z czym się wiąże nauka co najmniej dwóch języków słowiańskich. Jestem umiarkowanie negatywnie nastawiona do specjalizacji, którą współcześnie się uprawia na zajęciach z języka i literatury, czyli do przekonania, że należy się uczyć wyłącznie języka i literatury jednego kraju. Moim zdaniem nauka przynajmniej dwóch języków i literatur pomaga zrozumieć niezmiernie złożony i bogaty świat tej części Europy. Kiedy mówię o Europie, mówię zawsze o Europie Kochanowskiego, której Polska była integralną częścią. Nie wynaleźliśmy Europy w XX wieku.

Powiedziała Pani o konieczności uczenia się co najmniej dwóch języków słowiańskich. Myślę, że to bardzo ważna sprawa – taka praktyka może bowiem pozwolić na zaznaczenie odrębności kultur słowiańskich, co jest szczególnie ważne w kontekście widocznego na wielu uniwersytetach unifikacji pod szyldem slawistyki. Ten proces w praktyce może prowadzić zaś do uprzywilejowania kultury rosyjskiej i odsuwania języka i kultury polskiej na plan dalszy.

Naturalnie – do tego absolutnie nie można dopuścić. Dlatego należy uczyć się równolegle języka, literatury i historii tych dwóch jakże różnych od siebie krajów. To pozwoli na wzbogacenie sposobu myślenia o każdej z tych kultur. Od czasu wybuchu wojny w Ukrainie otworzyliśmy się mocno na ukrainistów włoskich. Umożliwiliśmy im przyjazd do Włoch, robiliśmy razem konferencje przeznaczone dla wszystkich studentów zainteresowanych historią, polityką i kulturą Ukrainy – nie tylko slawistów. Mówiliśmy na nich także o złożonych relacjach Polski i Ukrainy.

Kiedy mówi się o kulturze słowiańskiej, nie można powielać błędu, jaki popełniają często osoby mówiące o zachodzie Europy. Kultura włoska bardzo różni się chociażby od Francji czy Niemiec. Być może zaś ze względu na okres dominacji Związku Radzieckiego w Europie Środkowej i Wschodniej łączyło się je w dyskursie pod wspólnym płaszczem kultury słowiańskiej. Tymczasem świat słowiański tworzy wiele kultur, z których każda różni się od siebie. To właśnie ta różnorodność świadczy o jej bogactwie. Ryzyko unifikacji mogłoby zatem istnieć – ale go nie ma. Nie ma go przede wszystkim dlatego, że nowe pokolenie badaczy jest bardzo uważne na te sprawy. Mówimy zatem nie o literaturze słowiańskiej, ale o literaturach słowiańskich – rosyjskiej, polskiej, czeskiej… Mogę z dumą powiedzieć, że polonistyka we Włoszech jest silną polonistyką, której w znacznej części udało się zwrócić swoją rolę w kulturze polskiej.

Nie sposób jednak zapomnieć o procesie zamykania polonistyk, który następował na licznych uniwersytetach w ciągu ostatnich dziesięcioleci z

powodu problemów kadrowych po przejściu wielu profesorów na emeryturę i braku ich następców.

Wymiana pokoleń jest bardzo ważna. Działa u nas szkoła doktorska, w której mamy wspaniałe doktorantki (właściwie zawsze są to kobiety) – liczymy na to, że w ciągu najbliższych lat wzbogacą naszą kadrę akademicką. Tę wymianę pokoleniową warto wspierać, bo pozwala ona na otwarcie drzwi dla osób zdolnych do twórczego wykorzystywania nowych technologii (oraz sztucznej inteligencji, która może być ważnym narzędziem wspomagającym badania) do poprawy jakości badań. Jestem pod tym względem pełna optymizmu. Dzisiejsza młodzież ma inną świadomość i wrażliwość od naszego pokolenia. Oczywiście są wyjątki – ludzie, które myślą o dawnych czasach jak o epoce arkadyjskiej szczęśliwości, ale to kwestia ducha, który niektórym trudno jest zmienić.

Jak Pani zdaniem na ten proces wymiany pokoleń wpływają uwarunkowania instytucjonalne, np. związane z uzależnieniem liczby stanowisk naukowych od liczby studentów?

Poruszyła Pani bardzo poważny problem. Uniwersytet stał się obecnie przedsiębiorstwem, w którym patrzy się głównie na produktywność. W tym przypadku produktywność oznacza liczbę studentów. Uniwersytet nie może być firmą, ale tym właśnie został – ze wszystkimi tego konsekwencjami. To samo odczuwają profesorowie. Zwiększyła się liczba obciążeń administracyjnych i organizacyjnych, zżerających nam na próżno wiele godzin, które moglibyśmy przeznaczyć na badania. Inną trudną kwestią jest wymagana liczba publikacji. Kiedy miałam 35–40 lat, moi mistrzowie podkreślali, że należy pisać jedną albo dwie długie prace naukowe rocznie, nie więcej. W każdym z tych tekstów zaś powinniśmy starać się powiedzieć coś oryginalnego na wybrany przez nas temat. Dzisiaj to już tak nie wygląda. Obecnie badacz powinien publikować dużą liczbę artykułów rocznie. A to przecież niemożliwe. Jak to się więc robi? Przede wszystkim poprzez zmniejszenie objętości tekstów. Obecnie przeciętny artykuł ma 8-10 stron. Systemowi temu podlega zarówno młodzież, jak i starsi badacze. Młodzież żyje z tego powodu w ciągłym stresie, bo musi nieustannie pisać, pisać, pisać – jak chomik kręcący się w kołowrotku. To jest dla mnie szczególnie porażające, bo praca umysłowa jest jak dobre wino – wymaga czasu, dojrzewania. Nie da się napisać dwóch artykułów w odstępie miesiąca. Ale tego właśnie się wymaga od młodych badaczy, to się uwzględnia w postępowaniach konkursowych. Obecnie w ramach postępowania o nadanie tytułu profesora musisz zadeklarować, że masz wystarczająco dużą liczbę artykułów, by móc przystąpić do konkursu. Liczbę! To przecież absurd.

We Włoszech to się zaczęło w 2010 roku. Kolejne rządy nic nie robiły w celu wzmocnienia źródeł uniwersytetu. To zaś przyczyniło się do zmniejszenia liczby miejsc dla badaczy. Stosuje się przelicznik, zgodnie z którym przydziela się pracownikom wartość punktową – etat profesora warty jest 1 punkt, adiunkta 0,7 punktu, a asystenta 0,5. Jeśli zatem twój wydział ma do dyspozycji dwa punkty, musisz wybrać, czy chcesz zatrudnić dwóch profesorów zwyczajnych, czy np.

jednego profesora i dwóch asystentów. O wszystkim decyduje matematyka. Polonistyki są karane przez ten system – żadna polonistyka we Włoszech nie ma do dyspozycji tylu punktów, co anglistyki czy iberystyki. Mimo to jednak bronimy się. Staramy się przede wszystkim walczyć o jakość.

Jak na te zmiany reagują studenci?

Nie mają świadomości tego, co się dzieje – zwłaszcza świeżo upieczeni studenci. Większej świadomości nabierają ci, którzy po ukończeniu licencjatu zapisują się na studia magisterskie. Wtedy zajęcia są bardziej wyspecjalizowane. Świadomości tych podwalin nabierają jednak przede wszystkim studenci zaangażowani politycznie, śledzący prasę. Oczywiście jeśli ktoś zdecyduje się zostać na uniwersytecie i pisać doktorat, zaczynają dostrzegać problemy, z jakimi zmaga się akademia.

Z Pani opowieści rysuje się mało optymistyczny obraz, w którym utrzymanie etosu akademickiego staje się możliwe nie tyle w ramach instytucji, ile do pewnego stopnia wbrew niej.

Trochę tak. Jestem członkinią-założycielką Stowarzyszenia Polonistów Włoskich, które założyliśmy kilka lat temu w moim domu [śmiech]. Z innymi kolegami polonistami włoskimi utrzymujemy przyjazne stosunki. Bardzo się od siebie różnimy zainteresowaniami czy wiekiem. Mimo to zawsze utrzymywaliśmy w sobie buntownicze nastawienie, skłonność do oporu wobec instytucjonalnych ograniczeń. Jest tak dlatego, że działamy z pasji i z miłości, a pasjonaci mają tendencję do przenoszenia tego ognia na inne dziedziny życia.

Perspektywy na przyszłość są trudne. Myślę jednak, że młodzież wie, jak na to wszystko reagować. Młodzi są pełni podskórnej energii. Nikt się nie spodziewał, że w ostatnim referendum[3] weźmie udział tak wielki odsetek najmłodszych wyborców. Młodzi ludzie się przebudzili, są inteligentni, pełni wigoru – rozumieją, że to jest czas na podjęcie walki. Są też bardziej konkretni. Moja młodość przypadła na lata 70. i 80. XX wieku – my walczyliśmy o ideały. Ich bardziej interesuje proza życia – chcą poprawić jego jakość tu i teraz. Robią to jednak z tym samym entuzjazmem, co my. Liczę zatem bardzo na młodzież.

---

[1] *Liceo classico* – typ szkoły średniej we Włoszech dla uczniów w wieku od 14 do 19 lat. Nauka w nim trwa pięć lat, a jego program skoncentrowany jest na edukacji humanistycznej. Uczniowie uczęszczają na lekcje języków klasycznych (łaciny i greki), literatury włoskiej i filozofii. Szkoły te postrzegane są we Włoszech jako elitarne, a do 1969 roku tylko absolwenci *liceo classico* mieli otwarty dostęp do wszystkich kierunków studiów.

[2] *Liceo linguistico* – typ szkoły średniej we Włoszech, w którego programie kładzie się nacisk na naukę

języków obcych nowożytnych (do 2010 roku co najmniej dwóch lub trzech w szkołach państwowych, od 2010 trzech języków we wszystkich szkołach tego typu).

[3] Referendum w sprawie zmiany konstytucji i przeprowadzenia reformy sądownictwa we Włoszech odbyło się 21 i 22 marca 2026 roku. Przeprowadzone zostało z inicjatywy premierki Włoch, Giorgii Meloni, która poddała pod głosowanie pomysł rozdzielenia roli sędziów i prokuratorów oraz zmiany organu nadzorującego ich pracę. Zwolennicy Meloni podkreślali, że zmiany te pozwolą na zapewnienie bezstronności sądów, jej przeciwnicy zaś wskazywali, że skutkiem reform może być zwiększenie kontroli rządu nad wymiarem sprawiedliwości. Ostatecznie 54% głosujących sprzeciwiło się wprowadzeniu reformy. Spośród ogółu głosujących odsetek osób od 18 do 34 roku życia wynosił 20,8%, z czego 55,3% zagłosowało na nie. Wywiad odbył się 25 marca 2026 r.

Słowa kluczowe: przekład literacki, wywiad, Geopolonistyka, polonistyka zagraniczna

Rozmówca: Marina Ciccarini
Autor: Iwona Przybysz